

Barbara Konarska, *Słodycz imbiru*, Związek Literatów Polskich. Oddział, Zielona Góra 2018, 72 s.

Przed jednym ze spotkań autorskich zapytałam Barbarę, jak daleko możemy pójść w rozmowie o śmierci. Bez ograniczeń – odpowiedziała poetka, zalotnie pochylając głowę (co oczywiście nie ułatwiło sprawy). Zatem spróbuję napisać o jej wierszach uczciwie i bez uników, nie tyle oceniając ich literacką wartość (choć uważam, że są dużo lepsze niż te z początku drogi twórczej), co przyglądając się naprzemiennej historii bólu i zachwytu, na jaką się składają. Trzeba zauważyć, że obraz nieuleczalnej choroby ma w tym przypadku wymiar zarówno egzystencjalny, jak i artystyczny. Słowa wynikają wprost z cielesności. I gwarantują ocalenie dzięki swojej naturze. Jedno jest pewne: choroba nie jest tu chwytem poetyckim ani fantazmatem, a rozmyślenia o śmierci nie wynikają tylko z zaplecza intelektualnego. Liryczne „ja” to w pełni Barbara Konarska, dlatego właściwa będzie w tym przypadku analiza biograficzna.

Poetka usłyszała diagnozę w 2011 roku. Jej debiut (*Ocalone ćmy, czyli moje wędrowanie*) ukazał się nieco wcześniej, bo w 2009 roku. Już wtedy pojawiały się fragmenty świadczące o potężnym bólu: „Z krzyżem pokutnym kręgosłupa/ szukam drogi” i nieco dalej: „Szumny ból kuli się” (

moja ostatnia góra

). Każda z kolejnych książek (

Malowanka jesienna, Osty w fiolektach, Jestem, Niesyta czasu, Czy życie musi boleć?

) była pogłębianiem tematu rozpoznanej choroby. To ona stała się dramatyczną ramą tych wierszy. W literaturze taką formę opisów nazywa się czasem patografią (gr. pathos – choroba, graphien – pisanie). Ale w przypadku Basi, to pisanie wykraczało poza jej prywatne doświadczenie bólu. Do raka porównywała ona każdy przejaw zła: „nienawiść rozpełza się niczym rak” (

Fiat voluntas tua

).

Wydaje się to dosyć normalne, że boimy się dotykać tematu umierania. Stanowi ono obszar tabuizacji. Czujemy, że mówiąc o nim, przekraczamy pewne granice przyzwoitości. Unikamy osób noszących (coraz rzadziej) żałobę. Geoffrey Gorer stwierdził nawet, że śmierć jest pornograficzna – w sensie: wstydliva, zakazana. Być może perwersyjna jak żucie imbiru, porównane w tytułowym wierszu do przygryzania warg przy pocałunku. Dlatego współczesny świat (w którym dominuje kult nieśmiertelności) najchętniej urządziłby „wygnanie zmarłych” – o którym pisze Jean Baudrillard – ale przecież jest to niemożliwe.

Na spotkaniu autorskim w wilkanowskim Ogrodzie Sztuk wiersze Basi interpretowała Lidia Kurzawowa. Mam wrażenie, że wszyscy poza autorką byli na pograniczu zasmucenia i zawstydzenia. Boimy się pożegnać. Zresztą nikt głośno tego tak nie nazwał. Ale czuć było podskórnie, że Basia chce nas poprzez te wiersze przygotować i czegoś nauczyć. Dla mnie jest

to lekcja świadomego i szlachetnego odchodzenia – sztuki na kształt *ars moriendi*.

Tomik Barbary Konarskiej *Słodycz imbiru*, zredagowany starannie przez Eugeniusza Kurzawę, to sposób na odwiązywanie się od oczekiwań, planów, samej siebie. A więc uwalnianie. Różnie się ono odbywa. Niekiedy jest to przechodzenie przez pustynię, bezkresny pesymizm, miejsce, w którym istnieją niezrozumiałe prawa („w chwili najbardziej samotnej/ pragnę zamknięcia w kokonie snu/ by ukołysał duszę smutną aż do śmierci”,

Chwila samotności

). Zdarza się też, że przebija z tych tekstów nadzieja („Może to będzie piękne z bólu ocalenie?”, *Tanatos*

), absolutna akceptacja wszystkiego, co się wydarza, praktyka uważności i ćwiczenie obserwacji siebie. Poetka próbuje się zachwycać resztkami życia. Wiersz

Dyktatura choroby

jest tylko w pierwszej części pieśnią pochwalną o świecie. Nieco dalej wybrzmiewa głęboka tęsknota za niedostępnością lasu, widokiem księżyca. Od bólu nie ocala jednak magia codzienności (

Tanatos

). Poetka mozolnie skleja fragmenty mozaiki, choć „wzór zagubił się dawno/ a może go nigdy nie było” (***) „w kręgu lampy...”). Podejmuje próbę ostatniego uporządkowania rzeczywistości. Prawie przy każdym wierszu umieszcza datę. Pyta o sens bólu, ale go nie uwzniośla: „Czy mózg umierający ostatnim przebłyskiem/ przywróci sens maksymie: per aspera ad astra?”. Zawiesza aksjologię cierpienia, bo może ono przyjąć różne formy i prowadzić do odmiennych postaw (niekoniecznie lepszych). Ustawia je po stronie życia, a nie śmierci. Nie jest typem romantyczki, dla której zdrowie jest zbyt banalne i proste, i która nadawałaby umieraniu status niezwykłości, uduchowienia. Choroba nie jest przedmiotem sublimacji.

Białowłosa wielokrotnie podejmuje próbę wyobrażenia sobie pośmiertnej wędrówki. Tę podróż porównuje do spadania w lodową szczelinę, w beczas (*Interludium w beczasie*), do lotu poprzez lekką mgiełkę (***) „Wyobrazic sobie śmierć...”), do tonięcia łodzi (***) „Łódeczki uśmiechów...”). W tomiku pt.

Jestem

dominowała perspektywa kosmiczna. Czytaliśmy: „szukaj w sobie gwiazdowego wezwania do lotu”. Także i tym razem Basia wykracza poza ziemski horyzont. Choć w sprawie duszy wypowiada się niepewnie:

Co z duszą? Nie znam jej we mnie.

Tylko słoneczny spokój na łące dzieciństwa

szemrze echem jedności wszechświata

ze mną.

To przeczucie pełni odczuwane było już w poprzednich książkach (*Jestem*, *Niesyta czasu*). Wyrażało się raczej zachwytem i miłością do (wszech)świata, nawet jakimś religijnym stanem panteizmu:

*Aktem strzelistym świerków
Błagam o łaskę powrotów.*

*Milczy góra
(moja ostatnia góra, [w:] Ocalone ćmy...)*

Podstawowym miejscem, które pojawia się we wszystkich tomikach Basi, są góry. To w ich krajobraz wplata ona swoją opowieść o życiu i wędrówce. Służą też one metaforyzowaniu zmagania ze sobą i chorobą: „jakże wielka jest moja wędrówka/ z doliny na szczyt i znów ku dolinie” (*od siebie ku sobie*, [w:] *Ocalone ćmy...*). Wizerunek jej osoby też był na wskroś wędrowny: spakowana w mały plecak i zawsze uśmiechnięta, pełna optymizmu. Gotowa wyruszyć.

Wiersze o cierpieniu i śmierci są dopełniane w Słodocy imbiru czułymi i wzruszającymi tekstami na temat macierzyństwa i relacji z najbliższymi. Pokazują one koło życia i są elementem rozumienia „mozaiki”. Barbara umieszcza życie ludzkie jako interwał pomiędzy „częściami misterium bezczasu” (*Interludium w bezczasie*). „Bezczas” to jej określenie na trudny do wyobrażenia stan istniejący przed narodzinami i po śmierci. W tym przypadku przedrostek „bez” nie musi oznaczać braku w sensie negatywnym, ale wieczność, nieprzemijalność, stałość. Może Boga? Bo przecież znaczenie misterium przywołuje skojarzenia z tajemnicą i transcendentnym doświadczeniem.

Pisanie dla Barbary było imperatywem, świadectwem życia. Kiedy skończyła się egzystencja, skończyło się też pisanie („Dziś?/ Mówisz: jestem”, *Wczoraj, jutro*, [w:] *Jestem*). Dlatego najważniejsza okazała się dla niej perspektywa terażniejsza. Nie ma nic poza dziś i poza byciem. Stąd ten zachwyty, stąd pisanie jako trwanie. Stąd wreszcie pytanie: „Czyż nie napisać można?”.

Mirosława Szott